

Naprawiali Volkswageny i Toyoty

Arkadiusz Miszczyński nie spodziewał się, że z praktyk zawodowych trafi wprost do warsztatu w Monachium. Tam, przez ponad pół roku, był mechanikiem – tym od czarnej roboty. Spuszczał olej, wymieniał koła, klepał blacharkę. W końcu awansował – podobnie jak jego trzech kolegów z Polski.

Mały warsztat na przedmieściach Monachium zatrudniał 6 pracowników. Jego właściciel szukał tanich pomocników, więc w maju ubr. udał się do Polski. Z naszego kraju zabrał czterech nastoletnich chłopaków po szkole zawodowej i technikum mechanicznym. Mieli pomagać „specjalistom” z jego zakładu.

Młodzieńcy bardzo się ucieszyli. Zaproponował im 3,9 euro za godzinę pracy. Była to dla nich oferta nie do odrzucenia. W Polsce za pracę mogli pomarzyć, a także o takiej stawce za godzinę w warsztacie. Jak uważają, u nas, tuż po szkole, mogli liczyć co najwyżej na 6 zł/h.

Z rodzinnych miejscowości w Wielkopolsce i na Dolnym Śląsku zabrał ich wynajęty przez Niemca bus, który zawiózł ich na przedmieścia Monachium do miejscowości Ismaning, gdzie czekał na nich opuszczony domek pod lasem. Chlo-

pacy posprzątał go, wywietrzyli i ... żyli jak w bajce.

Tylko 8 godzin

Rano, autobusem miejskim, musieli dojeżdżać do Monachium.

– *Za tłumacza robił Jarek, bo tylko on w miarę znał niemiecki. Wiedzieliśmy, że o 6:07 musimy wsiąść do autobusu i wysiąść na 14-tym przystanku na trasie. Więc jechaliśmy – opowiada Arek Miszczyński.*

Pracowali od godziny 7 do 15, czasami 16. Do ich warsztatu przyjeżdżały najczęściej Volkswageny, ale starsze modele, wyprodukowane przed 1998 rokiem.

– *Z reguły naprawialiśmy Golfy trzeciej generacji i Passaty. Od czasu do czasu zjawiał się jakiś mini-bus T4 albo van Sharan. Szło nam całkiem niezle. Ja zajmowałem się głównie wymianą*

oleju, czyszczeniem filtrów, świec... Poważniejszymi naprawami zajmowali się niemieccy pracownicy.

Wszystko do czasu. Pewnego dnia zwieziono więcej aut i zrobił się zator. Terminy nagliły, jeden specjalista – mechanik z Monachium był na urlopie, drugi zachorował. Szef musiał polegać na Polakach.

– *Auto po naszych zabiegach wyglądało i chodziło jak nowe. Wymieniliśmy amortyzatory, sworznie, wyklepaliśmy bok i pomajsterkowaliśmy trochę przy skrzyni biegów. Ustawiliśmy rozrząd. Szef przyszedł, popatrzył na nas. Krzyknął do Jarka, żeby ten przyniósł mu kluczyki od golfa. Przejechał się. Do garażu wrócił z poważną miną. Za chwilę parsknął śmiechem, podał nam rękę i dał 100 euro do podziału. Wieczorem za to poszliśmy na pizzę i piwo.*

Od tej pory mechanicy z Polski mo-



gli prowadzić już wszystkie naprawy.

Japończyki lepiej płatne

Gdy w garażu, gdzie naprawiali samochody pojawiała się Toyota, Mazda albo Honda wynagrodzenie Polaków wzrastało z 3,9 euro na 5, ze względu na stopień trudności napraw.

Przy okazji nauczyli się wiele rzeczy, których w kraju nie poznaliby prawdopodobnie nigdy.

Swoją drogą trochę dziwne były zasady wynagradzania jakie chłopakom z Polski zaoferował Niemiec. To on wymyślił tą niecodzienną stawkę – 3,9 euro/h.

Niemiecka codzienność

Właściciel zakładu zapewniał naszej czwórce mieszkanie, kupił im także bilety autobusowe. Za resztę musieli płacić sami. Kupowali gotowe potrawy w słoikach i w puszkach, bułki i foliowane kotlety, często też zadowalali się sałatkami. Czasami dzwonili po pizzę. Rzadko odwiedzali restaurację Mc Donald's, ponieważ odstraszała cenami. Mieli sporo wolnego czasu, którego nie chcieli marnować.

Pewnego dnia do ich drzwi zapukał starszek mieszkający obok domu, który zajmowali. Zaproponował im przekopanie ogródka. Zrobili to, a Niemiec był zadowolony z ich ogrodniczych prac, które wykonał szybko i solidnie. Powiedział sąsiadom, że Polacy są chętni do podjęcia się różnych robót. Wiadomość

szybko rozniosła się po okolicy, a ofert nie brakowało.

– *Kosiliśmy trawniki, pomagaliśmy przy przeprowadze, czyściliśmy basen, sprzątaaliśmy w jakiś magazynach.*

Za drobne prace dostawali jednorazowe wynagrodzenie.

– *Nigdy nie pytaliśmy z góry o to ile zarobimy. Zawsze płacili dobrze. To dali po 30 euro na głowę, czasami 20 albo nawet i 10. W czwórkę robota szła szybko.*

Przymusowy powrót

Do Polski musieli wrócić, choć nie chcieli. Klientów w warsztacie ubywało, niemieccy pracownicy się buntowali, czuli się zagrożeni. Grozili szefowi, że powiadomią policję, że ten zatrudnia Polaków bez umowy. Ten wystraszył się i czym prędzej odwiózł ich do naszego kraju.

Żałowali powrotu, chcieli tam pracować nadal. Miesięcznie, jako mechanicy, zarabiali po 700 euro. Tyle wychodziło na rękę. Nie podnosili żadnych kosztów utrzymania oprócz jedzenia. Po pracy dorabiali. Zawsze udawało się im dorobić tyle, że nie musieli nic podbierać z owych 700 euro zarobionych w warsztacie.

Teraz, gdy od trzech miesięcy są w kraju, regularnie przeglądają naszą gazetę i internet w poszukiwaniu podobnej oferty.



Arek Miszczyński chwali sobie pobyt w Ismaning. Dobrze zarobił i zdobył ważne w tym fachu doświadczenie.